

## PECHOWIEC Z WYBORU

Niedawno ukończyłem 60 lat i któregoś dnia po tym święcie przeglądając zdjęcia minionych lat doszedłem do wniosku, że swoje dotychczasowe życie dość dobrze, uczciwie przeżyłem. Natomiast porównując się do swoich przodków, jako genealog amator, pomyślałem, że nie chciałbym zbyt szybko je kończyć, wolałbym, aby ono jeszcze dalej aktywnie, w tym i zawodowo trwało.

Jak wynika z podanego wieku jestem owocem wyżu demograficznego, wychowywanym w tradycyjnej rodzinie ze statusem inteligencji pracującej. Jako najmłodszy z czworga rodzeństwa, z perspektywy czasu muszę powiedzieć, że miałem nie najgorzej. Czas odbudowy kraju, pracy z nakazu już miałem za sobą. Po ukończeniu szkół pierwszą pracę podjąłem bez żadnego problemu.

Jestem człowiekiem energicznym, można powiedzieć zdolnym organizatorem, lubiącym rządzić, który w krótkim czasie po skróconym stażu został kierownikiem działu transportu. Niestety ta dość wyzywająca przygoda trwała stosunkowo krótko, bowiem po niespełna półrocznym kierownikowaniu zostałem powołany do odbycia zasadniczej służby wojskowej. Skoro dałem sobie radę w zimę stulecia zarządzając transportem, w tym i tym dowożącym ludzi do pracy, tym bardziej poradziłem sobie z „unitarką” w wojsku. Będąc pisarzem kwatermistrza rozwijałem się nadal, jako organizator, administrator i przyszły „dowódca”. Pozwoliło mi to na tyle, aby po powrocie do pracy poradzić sobie z zaopatrzeniem firmy od przysłowiowej śrubki po surowce produkcyjne, bowiem objąłem w swe władanie dział zaopatrzenia.

Nastał czas stanu wojennego i trudności w zdobyciu wszystkiego, dla mnie jednak nie było problemu, jak nie drzwiami to przez okno wdzieriałem się do

wszystkich instytucji, aby firma płynnie funkcjonowała. Korzystałem z rezerw państwowych w zabezpieczeniu w surowce, których brakowało z powodu opóźnionego importu ze wschodu, czy też przez wojewodę załatwiałem węgiel do kotłowni, gdy kopalnie nie nadążały z wydobyciem.

Mimo tego stanu, pełen obaw, jak to będzie w przyszłości, sprowadziłem sobie wybrankę życia ze ściany wschodniej na ziemię zachodnie, gdzie niedawno bywali przyjezdni Szwedzi i było czuć zapach zachodu. Żona dzięki mojej znajomości dostała pracę, z przejściem za porozumieniem zakładów pracy.

Jako świeżo upieczeni żonkosie przy pomocy kredytu dla młodych małżeństw oraz mojej operatywności, zaopatrzyliśmy swoje gospodarstwo domowe we wszystkie niezbędne sprzęty do sprawnego funkcjonowania. Pracując ukończyłem studia zaoczne na Uniwersytecie Warszawskim w specjalizacji: ekonomika sfery niematerialnej. Z każdym rokiem dzięki mej wrodzonej zdolności awansowałem na coraz wyższe stanowiska, aby w końcu w trzynastym roku pracy zostać członkiem zarządu firmy odpowiedzialnym za pion administracyjno-handlowy. Sprzyjające okoliczności sprawiły, że udało się nam podpisać intratny kontrakt na produkcję wyrobu, który przez likwidację wielu fabryk za zachodnią granicą po ich zjednoczeniu, stał się wyrobem na kilka lat spokojnej egzystencji. Pracownicy zarabiali mniej więcej po dwie średnie krajowe, odnawialiśmy park maszynowy udoskonalając proces produkcyjny. Ale żeby nie było zbyt sielankowo dobra passa się skończyła, nasz wyrób wyparł import z dalekiego wschodu, gdzie były tańsze surowce i koszty wytworzenia. Trzeba było szukać nowych możliwości produkcyjnych za granicą, bowiem nasz rynek niestety jeszcze nie odrodził się na tyle, aby sprostać naszym możliwościom produkcyjnym, a wręcz podupadł likwidując fabryki, które były chociażby zaopatrzeniem dla ginącego rolnictwa. Będąc już wice prezesem firmy wraz z kolegą opracowaliśmy plan tzw. uzdrowienia,

którego jednym z elementów, poza poszukiwaniem nowych możliwości produkcyjnych, było ograniczenie zatrudnienia, czyli zwalnianie pracowników. Popadło na tych: najdłużej pracujących, którzy mogli przejść na emeryturę, czy też likwidując pracowników nakładczych przy przekazaniu ich pracy pozostałym pracownikom produkcyjnym. Wprowadzone komputery i nowoczesne oprogramowanie sprawiły też ograniczenie pracowników pośrednio produkcyjnych, przede wszystkim w administracji. Tak też pracownicy, którzy byli zarazem współwłaścicielami firmy musieli się dostosować do nowych realiów gospodarczych. Na przeszkodzie stały niestety związki zawodowe, które przy swoich władczych ciągotkach bez ponoszenia odpowiedzialności doprowadziły do tego, że zarząd na walnym zgromadzeniu nie otrzymał absolutorium. Propozycje pracy przedstawione nam przez radę nadzorczą były, w moim odczuciu zemstą za wszystkie zmiany, jakie wprowadziliśmy, które miały na celu zmianę mentalności pracowników-właścicieli. Skończył się czas mojej dziewiętnastoletniej pracy, bowiem nie przyjąłem proponowanych nowych warunków pracy i płacy zaproponowanych przez radę. Zmuszony zostałem do poszukiwania nowego zajęcia. Dogodnością tamtego czasu było to, że powstały już prywatne biura pośrednictwa pracy. Do jednego z nich zgłosiłem się przedkładając swoje dokumenty aplikacyjne. Dość krótkie oczekiwanie i pierwsza propozycja pracy, przeprowadzone testy kwalifikacyjne, pierwsza rozmowa z pracodawcą i sielanka w niedalekiej przyszłości. Miałem objąć stanowisko kierownika organizacyjnego w jednej z podupadających stoczni. Kontakty towarzyskie i szerokie rozpoznanie tego, w co mam wdepnąć sprawiają, że mimo tak intratnej perspektywy rezygnuję z podjęcia pracy.

Z perspektywy czasu wiem, że być może popełniłem błąd. Ale nic na to nie poradzę, stało się. Trzeba było dalej szukać innych możliwości. W gazecie

wyczytałem małe ogłoszenie o potrzebie zatrudnienia zastępcy dyrektora w firmie handlowej. Szybka decyzja, trzeba spróbować. Złożyłem dokumenty, po czym zostałem poproszony na rozmowę kwalifikacyjną. Rozmowa z dwoma właścicielami. Zostaję przyjęty, krótki okres bezrobocia mam już za sobą. Żwawo przystępuję do rozpoznawania firmy, zaznajamiania się z pracownikami, rozmów z pozostałymi właścicielami (trojgiem). Zostają wyznaczone mi zadania, próbuję dogadać się z dyrektorem. Okazuje się, że firma ma realizować duży kontrakt dla jednej z wyższych uczelni, która to raptem zaczyna się z niego wycofywać. Moje analityczne podejście do pracy sprawia, że wykrywam, iż pracujący dyrektor za pośrednictwem podstawionej firmy chce przejąć ten kontrakt. Poinformowani właściciele nabierają do mnie pozytywnego przekonania, powierzając mi odzyskanie tegoż kontraktu. Musiałem przeprowadzić kilka rozmów z przedstawicielem uczelni i mamy kontrakt z powrotem, dyrektor dostaje wypowiedzenie z pracy, a ja propozycję raczej nie do odrzucenia objęcia obowiązków dyrektora. Tak też po niespełna miesiącu zostaję dyrektorem, z dużym biurkiem, telefonem komórkowym i sekretarką. Nie wiedziałem jeszcze, że właściciele, każdy z osobna ma różne wizje na funkcjonowanie firmy. Zaczęły się wycieczki i podpowiedzi, pan zrobi to, a może to itd. Dzień stawał się coraz dłuższy, a noce bezsenne. Co zrobić, żeby wszystkich pogodzić i zadowolić. W międzyczasie nowe zadanie do realizacji - likwidacja punktów handlowych, tych słabo prosperujących, a przez to likwidacja kilkunastu etatów. Pracownicy niezbyt przychylnie zaczynają na mnie spoglądać, na dodatek przy przeprowadzanej inwentaryzacji, w czasie jej kontroli przeze mnie, przyłapuję pracowników na spożywaniu alkoholu. Trudno trzeba się rozstać z nimi, nie przewidziałem tylko jednego, że oni są dłużej osadzeni w firmie na lepszej pozycji startowej. Kończy się naganami, a w stosunku do mnie co rusz to nowe trudno wykonalne zadania.

Mija pół roku pracy, podejmuję trudną dla mnie decyzję rozstania się z firmą, bowiem rzadki gość w domu pałący trzy paczki papierosów dziennie, to nie jest to dobre rozwiązanie dla rodziny.

I znowu zaczynam szukać nowego miejsca pracy. Ogłoszenie w gazecie na kierownika bieżącej działalności firmy handlowej inwalidów, może być ciekawym wyzwaniem. Składam dokumenty aplikacyjne i niedługo po odbytej rozmowie z radą nadzorczą dostaję propozycję pracy. Dopiero teraz udaję się po rozum do głowy i wnikliwie rozpoznaję firmę, a dokładnie jej sieć handlową. Stare, zaniedbane punkty handlowe w niezbyt ciekawych okolicach oraz asortyment tam oferowany raczej odstrasza niż zachęca do podjęcia tam pracy. Szukam nowych ofert i jest, zapotrzebowanie na dyrektora oddziału firmy windykacyjnej. Składam dokumenty aplikacyjne i wkrótce zaczyna się szkolenie. Kilkanaście osób chętnych na objęcie tego stanowiska nie wpływa zbyt obiecująco na moje nastawienie do nowego zajęcia. Rozpoznaję rywali z jakimi mam do czynienia. Wychodzi na to, że jest dwóch również z doświadczeniem zarządczym, tak jak ja, przy czym według mnie moje słabsze. Tak też się staje, zostaje wybrany kolega zarządzający wcześniej dużą spółką produkcyjno-handlową o zasięgu międzynarodowym, pozostałym w tym i mnie przeprowadzającym szkolenie proponują objęcie w ramach samozatrudnienia przedstawicielstwo handlowe, czyli zostanie tak zwanym pełnomocnikiem firmy. Zrezygnowałem z poprzedniej propozycji, a to już kilka miesięcy próżnowania, trzeba podjąć jakąś decyzję. Podejmuję się tego nowego – windykacyjnego wyzwania. Firma o zasięgu ogólnopolskim, nie żałująca kosztów na przygotowanie współpracowników, zapewniająca minimum socjalne na pokrycie kosztów samozatrudnienia, brzmi obiecująco. Czemu nie spróbować, tylko, jak to zrealizować, wcześniej będąc na wyższych stanowiskach dzisiaj muszę z takimi osobami właśnie rozmawiać proponując

im nasze usługi. Pierwszy rok był ciężki, musiałem się przestawić mentalnościowo z pozycji dyrektora na handlowca, organizując się w tej nowej sytuacji. Przyczynkiem do osiągnięcia sukcesu było umówienie, jak największej ilości spotkań, tylko, jak przebrnąć barierę pośredniczącą w rozmowie (asystentki/sekretarki) z dyrektorem/prezesem czy też właścicielem. Muszę przyznać, że umiałem rozmawiać z sekretarkami, udawało się umówić 40-50 spotkań miesięcznie, spośród których 10 procent było celnym strzałem. Pierwsze zawarte umowy i przyniesione zlecenia dają satysfakcję, są nagrodą za ten czas bezczynności. W kolejnych latach w rankingu ogólnopolskim pełnomocników, zaczynam pojawiać się w pierwszej dziesiątce. Finanse zaczynają wyglądać całkiem przyzwoicie, aż tu nowy pomysł właściciela. Zmienia zarząd firmy i powierza go tym co wcześniej „sprzedawali samochody”, a nie specyficzne usługi prawne. Zmieniają nam umowy współpracy na mniej korzystne. Krótka piłka, cały oddział staje okoniem i nie przyjmujemy nowych warunków. Ponieważ o zamiarach tych zmian wiedzieli koledzy z innego oddziału, którzy wcześniej odeszli z firmy i założyli swoją, pojawiają się u nas z propozycją przejścia do nich. Długa debata, rozpoznawanie innych propozycji, w tym tej chyba najlepszej, aby zacząć samemu. Brakuje tylko środków finansowych na start, albo tylko tak nam się wydaje, podejmujemy decyzję przejścia do nich, po czterech latach współpracy z firmą o ogólnopolskim zasięgu.

W międzyczasie kończę kurs na agentów ubezpieczeniowych otrzymując państwową licencję i podpisuję umowę współpracy z nową firmą ubezpieczeniową na rynku polskim. Sporządzam listę „100” i ubezpieczam najpierw najbliższych, następnie kilku znajomych, w sumie 10 umów w przeciągu miesiąca. Od dyrektora handlowego otrzymuję dyplom i poza kasą nagrodę pieniężną. Super, oby tak dalej. Próbuję ubezpieczyć dalszych

członków rodziny i tutaj ściana, nie dowierzają, że nie chcę ich naciągnąć tylko, że oferuję dobrą opcję.

Płynnie bez przestoju rozpoczynam pracę w nowej firmie windykacyjnej, tzn. przenoszę swoich klientów. Jedni przechodzą, inni nie, a tu trzeba funkcjonować, zarabiać. Ubezpieczenia mi nie wychodzą, mijają kolejne miesiące, a tu nic nowego, dostaję zadanie – przejęcie innych klientów, którzy wcześniej zawarli umowy i przestali płacić. Objeżdżam ich późnym popołudniem, a nawet wieczorem i zero efektu. Zmarnowany czas, zużyte paliwo, rezygnuję z ubezpieczeń. Nowe wyzwania w finansach domowych, starszy syn podejmuje studia w Warszawie, a i młodszemu też coraz więcej trzeba. Negocjujemy umowy z kolegami-właścicielami proponując - poszerzenie wynagrodzenia o prowizję od kwot odzyskanych, dotychczas mieliśmy wynagrodzenie tylko od zawartych umów i ilości zleceń. Nasze propozycje koledzy oczywiście akceptują, ale dopiero od kolejnego roku. Sprężam się i osiągam największy przychód w mojej dotychczasowej samo zatrudnieniowej działalności, ale nie przekłada się to na finanse, bowiem niestety otrzymujemy wynagrodzenie tak, jak w firmie poprzedniej. W kolejnych latach wynagrodzenia nasze rosną, ale ubywa klientów i zleceń, ponieważ nasze działania edukacyjne i skuteczne windykowanie sprawia ograniczone potrzeby. Rynek przeorany wzdłuż i w szerz nie zabezpiecza potrzeb rozbudowanej firmy. Powstają nowe pomysły kolegów-właścicieli, zmiany umów na mniej korzystne dla nas. Dziesięcioletni okres współpracy się kończy. Zaważyła ilość przynoszonych obecnie zleceń w stosunku do przychodu z tych przyniesionych wcześniej, z których cały czas coś nam sphywało. Trudno trzeba podjąć się szukania nowych rozwiązań, najpierw próba samemu pozyskiwania i prowadzenia spraw, obsługa funduszu kredytowego, szpitala w odzyskiwaniu swych należności.

Na wysłaną ofertę do innej firmy windykacyjnej na stanowisko windykatora terenowego jest odzew, zostaję zaproszony na spotkanie. Rozmowa przy kawie i z nieukrywaną szczerością kierownik oddziału stwierdza, że chętnie chciałby mnie zatrudnić, ale tego nie robi bo obawia się, że z moim doświadczeniem mógłbym jemu w przyszłości zaszkodzić i zająć jego pozycję. I tak bywa, trzeba szukać gdzie indziej. Niestety stale rosną koszty utrzymania działalności gospodarczej. ZUS rośnie, paliwo drożeje, zleceń coraz mniej za mniejsze pieniądze. Ze względu na ponoszone straty zawieszam działalność gospodarczą.

W domu znowu nerwowa atmosfera, żona krzywo się na mnie patrzy. Rozpytuje znajomych, czy nie mogą mi jakoś pomóc w znalezieniu nowego zajęcia. Na przeciw mnie w rozwiązaniu nowego problemu z pracą, przychodzi mi kolega ze studiów. Podpowiada mi, żebym ukończył kurs na lustratorów organizowany przez Krajową Radę Spółdzielczą. Koszt szkolenia duży, w tym dojazdy do Warszawy i niewiadoma przyszłość, mogą być elementem odstrasającym, ale podejmuję się tego. Trzeba coś robić. Spośród dwudziestu kilku uczestniczących w szkoleniu tylko ja przystępuję do pierwszej lustracji dzięki koledze, który zabiera mnie ze sobą, dzieląc się pracą. Tak funkcjonujemy półtora roku, przy czym są też okresy bez pracy, mniej więcej co dwa miesiące mamy lustrację. Praca na umowę o dzieło i na takich warunkach nie jest tym czego się spodziewałem. W domowych finansach zaczynają się problemy, dość wysoka linia debetowa powoli zmierza ku krańcowi. Szukam nowych ogłoszeń. Jest coraz gorzej, rejestruję się w Powiatowym Urzędzie Pracy bez prawa do zasiłku. „Panienka” obsługująca mnie po zarejestrowaniu w bazie z wymowną satysfakcją stwierdza, że pracy to dla mnie nie ma. Upokarzającym staje się odwiedzanie co miesiąc urzędu w celu potwierdzenia faktu, iż nadal nie pracuję, tak jakbym miał z tego jakies



korzyści. Mam pomysł na biznes, chcę założyć spółdzielnię socjalną zajmującą się poszukiwaniami genealogicznymi. Udaje się do PUP-y, czy mogą mi pomóc w organizacji i wskazaniu innych bezrobotnych – historyków, nauczycieli, a może archiwistów, aby zacząć funkcjonować i przynosić podatki Państwu. Odpowiedź jakże prosta mnie spotyka, że jeżeli sam sobie to wszystko zorganizuję to pomogą mi zarejestrować działalność. Taka to **pomocna dłoń** mnie dosięgnęła. Szukam dalej sam, wysyłając coraz więcej aplikacji na różne stanowiska od referenta, specjalistę po stanowiska kierownicze. I nic, nawet nikt nie pofatyguje się odpisać, podziękować za złożoną ofertę. Tak sobie zaczynam myśleć, że te wszystkie oferty to jedna wielka lipa, albo mają z góry upatrzonego klienta do obsadzenia wakującego stanowiska, albo budują bazę odbiorców swoich usług, towarów. Zaczynam odbierać coraz częściej jakies dziwne telefony z cudacznymi ofertami.

Liczę na to, że może zajdzie pozytywna zmiana, gdy w gazecie pojawia się ogłoszenie o naborze na prezesa zarządu spółdzielni mieszkaniowej. Czemu nie spróbować, przecież prowadziłem lustracje w spółdzielniach mieszkaniowych, tych małych i dużych, mam doświadczenie zarządcze i otwarty umysł. Warunkiem przyjęcia dokumentów jest zaświadczenie o niekaralności, mogę to przełknąć niewielki koszt 30,00 złotych, ale wymagane jest też zaświadczenie o stanie zdrowia podpisane przez lekarza medycyny pracy. Jako, że prowadziłem wcześniej działalność gospodarczą takowe nie było mi do niczego potrzebne. Dzwonię więc do spółdzielni z zapytaniem, czy dostanę skierowanie do lekarza, odpowiedź od po. Prezesa zaszokowała mnie, to przecież kosztuje grosze, więc proszę je wykonać we własnym zakresie. Nic innego mi nie pozostało, jak udać się do spółdzielni lekarskiej, bowiem żadna przychodnia bez skierowania, nawet odpłatnie nie wykona badania i nie wyda zaświadczenia. W spółdzielni bez problemu za 450,00 złotych zrobiono mi komplet badań i wydano

zaświadczenie, że nadaję się do pełnienia funkcji prezesa spółdzielni. Szok, jestem zdrow i mogę pracować. Złożyłem w zaklejonej kopercie dokumenty, przypilnowując ostemplowania i wpisania w książce podawczej przez niezbyt uprzejmą panią. Mijają dwa tygodnie i otrzymuję pismo od rady nadzorczej, że zapraszają mnie na rozmowę. Tak, jak zawsze przy składaniu ofert pracy (do spółek prawa handlowego, czy też spółdzielni) udałem się do Krajowego Rejestru Sądowego, aby zapoznać się z dokumentacją. Na umówione spotkanie przybyłem wcześniej, dużo wcześniej, aby sprawdzić ile osób będzie wychodzić przede mną, aby oszacować swoje szanse. Nikt nie wychodził, więc tylko ja? Trochę z niedowierzaniem udałem się na rozmowę. Miła rozmowa, pytania i mój monolog o wcześniejszych zawodowych poczynaniach. Potem, co nieco się ożywiło i po półtorej godziny wyszedłem pełen obaw co do oczekiwanych radnych, opowiadających mi na temat poprzedniego prezesa, jaki on to był zły itd., dostałem też zadanie do wykonania - opracowanie strategii dla spółdzielni. W przeciągu tygodnia dostarczyli mi skserowane dokumenty z lat poprzednich, aby na ich podstawie poczynić opracowanie. W trakcie tego spotkania przewodniczący rady uwrażliwiał mnie na różne sprawy z przeszłości spółdzielni. Miałem tydzień czasu na opracowanie strategii, analiza wykazała wiele, bardzo wiele niedoróbek formalno-prawnych w dokumentacji, począwszy od statutu, a skończywszy na zbyt rozdymanych wynagrodzeniach. Być sekretarką za 4 tysiące to chyba i ja bym chciał, żadnej odpowiedzialności tylko staranność i obowiązkowość w pracy. Spisałem paręnaście stron strategii i wysłałem pocztą elektroniczną w oczekiwaniu na telefon potwierdzający kolejne spotkanie.

Z perspektywy czasu wiem, że nie można być zbyt otwartym i szybko działającym, to co opracowałem i jaki wyznaczyłem sobie czasookres realizacji, musiałem później realizować. Moja kandydatura została zaakceptowana,

zostałem prezesem zarządu, przy czym musiałem ponownie udać się do lekarza medycyny pracy, bowiem moje zaświadczenie było mało wiarygodne – nie z przychodni. Nie chciałem roztrząsać tematu z po. Prezesa i panią od przyjmowania dokumentów, wykonałem badania i dostałem zaświadczenie na 3 lata. Następnego dnia przystąpiłem do pracy, od przeglądu kadrowego po przeprowadzenie prywatnej lustracji, w tempie iście ekspresowym. Z domu wychodziłem rano, tak po 7 wracałem po 19. Kilka kaw dziennie i analiza pozwoliła mi na kilka niezbyt popularnych ruchów, ale o tym za chwilę. Najpierw musiałem przygotować walne zgromadzenie, jakie było wcześniej zaplanowane, uczestniczyć w kilku posiedzeniach rady nadzorczej przy rozpatrywaniu spraw, jakie nabierali z okresu działalności po. Prezesa, jakim był oddelegowany członek rady. Niepotrzebnie wdawałem się w dyskusje z nie fachowcami, w tym i przewodniczącym rady, który jak się okazało później paręnaście lat temu był również prezesem tejże spółdzielni. Walne się odbyło, przedstawiłem się i w skrócie przedłożyłem to co zamierzam zrealizować, zebrałem gromkie brawa i życzenie powodzenia. No i zacząłem naprawiać tę smutną rzeczywistość, zmieniając warunki płacy pracowników przedkładając im zakresy obowiązków, których wcześniej nie mieli. Wręczyłem wypowiedzenie z pracy swojemu poprzednikowi, którego rada nie potrafiła zwolnić, założyłem stronę internetową itd. wykonując to co do czego się zobowiązałem. Przyszedł czas corocznego sprawozdawczego - walnego zgromadzenia. I znowu przygotowałem je, według mnie perfekcyjnie, włącznie z pokazem multimedialnym, czego wcześniej nigdy w spółdzielni nie było. Zaskoczeniem dla mnie było, gdy zarząd, w tym zwolniony przeze mnie prezes otrzymali absolutorium, a nie otrzymała skwitowania rada nadzorcza na podstawie przedstawionego sprawozdania z ich działalności. Po walnym zacząłem głęboko dociekać powodów takiego stanu rzeczy, docierając również

do dokumentów z korespondencji pomiędzy radą nadzorczą a zarządem, który okazał się wcale nie taki zły. Na przeszkodzie stała rada, a raczej jej przewodniczący, nie zawsze chętna do współpracy. Ponieważ jestem człowiekiem prawa postanowiłem zagrać *va banque* z radą proponując im poddanie się osądowi członków spółdzielni to jest konkretnie, żeby podali się do dymisji, w przeciwnym razie ja złożę rezygnację, bowiem nie chcę uchodzić, w oczach członków spółdzielni, za ich człowieka tj. posłusznego radzie.

Jak postanowiłem tak zrobiłem, członkowie rady choć pierwotnie zapewniali mnie, że poddadzą się osądowi, tego nie uczynili. Wyszło na to, że odchodzę ja, jako człowiek honoru. Przy odejściu wymagano ode mnie szczegółowego protokołu przekazania, tak żeby utrudnić mi życie, ale przebrnąłem i przez to, a oni pozostali w nowych realiach. Po moim odejściu w niedalekiej przyszłości dwóch członków rady złożyło rezygnację z uczestnictwa w niej, trzeci odszedł bowiem przestał być członkiem spółdzielni. Powiem szczerze, że liczyłem na to, iż członkowie rady będą ludźmi uczciwymi a nie zacierzewionymi pieniaczami, których celem było pozbycie się poprzedniego zarządu, a nie naprawa spółdzielni. Opracowane przeze mnie regulaminy, statut i inne działania organizacyjne zapewne służą nowemu zarządowi, bowiem nie widzę jakichkolwiek zmian na ich stronie internetowej. Moja przygoda z zarządzaniem spółdzielnią zakończyła się moją porażką i to nie tylko finansową. Wedle mnie może jednak wyszedłem z honorem, choć inaczej to postrzega rodzina i znajomi. Tego cytatu nikt mi wcześniej nie zacytował, ale sam sobie go często dzisiaj powtarzam będąc już drugi rok na bezrobociu: **"miałeś chamie złoty róg, miałeś chamie czapkę z piór, czapkę wicher niesie, róg huką po lesie, ostał ci się ino sznur"**, zadając sobie pytanie, czy nie korzystniej byłoby podjąć walkę z radą nadzorczą, realizować nadal swój plan

działania i mieć ustabilizowaną sytuację finansową - jakże ważną w momencie, kiedy to młodszy syn podjął studia w Warszawie, a koszty życia codziennego znacznie wzrosły. W domu bezsensowne dyskusje, które do niczego nie prowadzą, a jedynie podsycają nerwową atmosferę. Zaczynam coraz częściej uciekać z domu na bezcelowe spacerunki rozpamiętujące o mojej zawodowej przeszłości.

Po zakończonej pracy w spółdzielni karnie zameldowałem się w PUP-y, aby znowu usłyszeć, że pracy dla mnie to nie ma.

Rozpoczął się nowy rok, nowe nadzieje na *lepszą zmianę*, ale niestety nadal nic się nie zmienia. Częściej pojawiają się ogłoszenia pracy wymagające przynajmniej swobodnego poruszania się obcym językiem, którym dla mnie jest niestety tylko rosyjski, ale takowych ofert to nie ma. Codzienne przeglądanie ofert, rzadsze wysyłanie aplikacji staje się coraz bardziej męczące, staję się zakałą rodziny. Na szczęście jestem zdrowy, chciałbym aby tak nadal było, że nie choruję, że nie potrzebne jest ponoszenie dodatkowych kosztów na leczenie, tak jak to było u mego kuzyna, który miał raka i w miesiąc w miesiąc wydawali po dwa tysiące na uśmierzenie bólu.

Zastanawiam się, czy się do czegoś jeszcze nadaję i tu nagle potrzeba od starszego syna, aby pomóc jemu w przeprowadzce z Brukseli do Paryża. Pełna moja dyspozycyjność oraz odpowiedzialność i chęć niesienia pomocy najbliższemu, sprawia, że wsiałam w samochód i jadę przeprowadzić swoich naukowców, którzy w kraju nie mieli by jakichkolwiek szans na rozwój naukowy. Przedtem jednak, jako światły człowiek udaję się do NFZ-tu po europejską kartę ubezpieczenia zdrowotnego, a tutaj zderzenie z paranoiczną rzeczywistością, mogę wyjechać na 10 dni, ale muszę się potem zameldować w PUP-y itd. Nie pozostało mi nic innego, jak dokonać wyrejestrowania się z

szeregu bezrobotnych i zasilić rzeszę „szczęśliwych niepracujących” i zdać się na ubezpieczenie, jako członek rodziny w zakładzie pracy żony. Bez problemu dostałem EKUZ i wyjechałem spełnić rodzicielski obowiązek. Miesiąc opieki nad wnuczką był przyjemnością, a później wyszykowanie mieszkania do zdania w Brukseli sprawdzianem na moją rzetelność i staranność. Właścicielka mieszkania, jakie wynajmowali, wraz z rzeczoznawcą powiedziała synowi, że tak przygotowanego mieszkania do zdania to jeszcze nie spotkała. Nie mieli się do czego przyczepić. W tym miejscu głęboko się zastanowiłem nad moją przyszłością, czy nie byłoby rozwiązaniem dla mnie, podjąć pracę za granicą przy tego rodzaju pracach? Ale z drugiej strony, czy faktycznie korzystniej jest dzisiaj zatrudniać nie zawsze właściwie przygotowanych, bez praktyki i tzw. kindersztuby młodzików z *lepszey zmiany*, czy może jednak dać szansę tym co nieco bardziej doświadczonym, choć z siwym włosem na skroni, a jeszcze nie na emeryturze.

Takie to pytania zaprzatają mój umysł patrząc się w szklane pudełko i wsłuchując się w tę jakże ponurą rzeczywistość. Żal jest mi żony, która musi tyrać na dwóch etatach, bo inaczej nie mogę nazwać jej pracy, aby utrzymać dom, niepracującego męża i studiującego syna. Jakaś totalna paranoja opętała ten świat, choć było już to wiadome w latach osiemdziesiątych, że tak będzie (niż demograficzny, globalizacja itd.).

Nadchodzi koniec roku, pojawia się ogłoszenie w gazecie na wiceprezesa spółdzielni mieszkaniowej, skądinąd znanej mnie z mojego wcześniejszego 19-letniego okresu pracy, firmy o takiej samej nazwie, jak ta moja, gdzie byłem wiceprezesem. Wymogi standardowe, załączam zaświadczenia z poprzedniej spółdzielni i czekam na odzew. I jest, czyli nie jest tak ze mną źle, gdzieś mnie jeszcze chcą, no może potrzebują. Udaję się wyszykowany w odpowiednią wiedzę, w tym i po wizji lokalnej, aby znać stan faktyczny budynków,

informacje internetowe i coś czym mogę zaskarbić sobie przychyłność członków rady. Rozmowa dwudziestominutowa, szczegółowe pytania i zasadnicze co bym zmienił, jakie są moje oczekiwania finansowe. Po udzielonych odpowiedziach widzę zadowolenie w oczach większości członków rady, mam oczekiwać informacji e-mailowej co do dalszego trybu rekrutacji. Po niespełna dwóch tygodniach e-mail z informacją, że zostałem zakwalifikowany do dalszego etapu - to jest debaty rady nadzorczej nad wytypowanymi dwoma kandydaturami. Czas się dłuży, informacja o przesunięciu terminu posiedzenia, w końcu jest po miesiącu, że moja oferta nie została wybrana i dziękują za zainteresowanie. Cóż widać tak być musiało, ale tak z ciekawości za jakiś czas wchodzę na ich stronę internetową i czytam kogo to wybrali, otóż moją rywalką była kobieta dwadzieścia lat młodsza, pełniła wcześniej również funkcję prezesa spółdzielni, jest prawnikiem i ma licencję zarządcy nieruchomości – tego papieru to niestety nie mam. W większości ofert z rynku nieruchomości jest sformułowanie, o tym, że dobrze by było mieć właśnie licencję zarządcy nieruchomości, choć w obowiązującym porządku prawnym jest to niewymagane.

W międzyczasie pojawia się ogłoszenie ze ściany wschodniej na prezesa spółdzielni mieszkaniowej, składam dokumenty, robię rozpoznanie. Któregoś dnia, mniej więcej po trzech tygodniach, późnym wieczorem telefon od przewodniczącego rady nadzorczej z informacją, że zapraszają mnie na spotkanie, przy czym zadaje mi pytanie odnośnie moich oczekiwań finansowych, ponieważ znałem ilość członków i zasoby mieszkaniowe, jakimi dysponują proponuję wynagrodzenie w wysokości średniej krajowej. Zapada cisza w słuchawce, po czym pan mi odpowiada, że tyle to nie są w stanie zapłacić, na moje pytanie a ile mogą – odpowiedź: proszę przyjechać porozmawiamy. Siadam do komputera i zaczynam przeglądać w krs.online

wcześniejsze składy zarządów, wychodzi na to, że co dwa lata zmieniają, przy czym pojawia się również nazwisko przewodniczącego rady. Następnego dnia dzwonię do jednego z byłych prezesów, który jest prezesem w dużej spółdzielni mieszkaniowej i próbuję dowiedzieć się coś na temat tej spółdzielni ze ściany wschodniej. Najpierw wypytuje mnie, kto to ja jestem etc., przedstawiam się dość szczegółowo informując o przebiegu rozmowy z przewodniczącym, na co otrzymuję odpowiedź: niech pan da sobie spokój, oni chcą robotnika za małe pieniądze, którego i tak niedługo zmienią. Dziękuję za informacje, szybko zapominam o tej ofercie nie jadąc na spotkanie, szkoda pieniędzy na podróż.

I znowu dalej stoję w stanie zawieszenia, szukając, odświeżając wszystkie znajomości – tych co mogli by pomóc w znalezieniu pracy bądź ją dać, odpowiedź prosta i prozaiczna: wiesz jest ciężko, chyba będę zamykać firmę itd., inni zaś ze zdziwieniem stwierdzają, że akurat ja szukam pracy. Wysłałam kolejny raz aplikacje na formularzach firmowych do największych firm z mego regionu. Składam ofertę na stanowisko menadżerskie w nowo powstającej zachodniej hurtowni ze sprzedażą internetową licząc, że może się odezwą, niestety nic, chyba zaczynają czytać CV od daty urodzenia. Przeglądam internet w poszukiwaniu znajomych nazwisk, tych co by mogli mi ewentualnie pomóc. Znajduję kilku, nawet wysoko osadzonych w kręgach politycznych, znanych mi z przeszłości z okresu początku działalności Solidarności. Zastanawiam się czy dzwonić do któregoś z nich, ale dochodzę do wniosku, że nie, niestety nie skorzystam z pośrednictwa *dobrej zmiany* bo uważam to jednak za nieetyczne.

Co robić dalej, nie wiem, brak mi pomysłów. Nadal zaczynam każdy dzień od rannej lektury ofert pracy, coraz rzadziej wysłałam aplikacje. W domu wykonuję, już od wielu lat - kiedy to po raz pierwszy stałem się bezrobotnym,



wszelkie prace, skądinąd zawsze pomagałem żonie w sprzątanii, zakupach etc., ale teraz to tak na 100 procent stałem się „gospośiem”. Żona czasem, tak w dobrej wierze inicjuje rozmowę, czy nie powinienem pochodzić po firmach i osobiście składać dokumenty, szukać innego zajęcia. Tak samo, jak uczyniła to jej siostrzenica na ścianie wschodniej przy szukaniu pracy. Znalazła zatrudnienie w sklepie jako sprzedawca, ale czy ja się do tego nadaję, nie wiem. Nie mam pojęcia, czy bym potrafił stać za ladą, czy też sprzątać ulice. Nigdy tego nie robiłem i nie wiem, czy dałbym sobie radę. Złożyłem dokumenty aplikacyjne w istniejących na moim rynku firmach pośrednictwa pracy z nadzieją, że kiedyś ktoś może do mnie zadzwoni. Mijają dni, miesiące i nic, i co tu robić?

Pytam się sam siebie, gdzie popełniłem błąd w składanych dokumentach aplikacyjnych, czy nie jestem zbyt zarozumiałym, czy mam za słabe doświadczenie zawodowe i wykształcenie. Na składane oferty z portali internetowych czasami wpływają odpowiedzi o stanie rekrutacji i wynika z nich, że plasuję się w górnej półce i średniej lokacie z wymaganiami wynagrodzeniowymi. Więc o co tu chodzi, czy ten mój PESEL stoi na przeszkodzie? W domu niestety jest coraz gorzej, żona ma pretensje o wszystko czego nie wykonałem, a ona założyła sobie, że ma być to zrobione, wypowiadając złowieszcze dla mnie słowa: „co nie miałeś czasu?”. Działa to na mnie, jak płachta na byka. Zaczynają przychodzić mi do głowy różne mało racjonalne pomysły. Ale nie zrealizuję tego, chyba jestem jednak tchórzem, aby skrócić czas tego bytowania w niezbyt przyjaznych warunkach geopolitycznych. Czuję się chyba zdrowym, więc renty bym nie otrzymał, w każdym bądź razie tego jeszcze nie sprawdzałem. Co bym chciał jeszcze robić w życiu nie muszę powtarzać sobie, bo jest to już tak jasne, jak normalna oczywistość. Potrzebna jest mi praca, abym wyrwał się z domu. Zarobił na

przysłowiowy chleb i choć częściową realizację dawno zawieszanej pasji, jaką jest genealogia. Tyle ciekawych książek jest do kupienia, a ja nie chcę robić uszczerbku w domowym budżecie, aby nie było niepotrzebnego później gadania. Myślę więc sobie, że może instytucje państwowe, oprócz realizowania swych jakże ważkich zadań, służących im samym, zajmą się takimi nieszczęśnikami, jak ja, aby ich wspomóc w znalezieniu właściwego miejsca na ziemi. Może ośrodki akademickie, robiąc burzę mózgow sprawią, że ktoś zacznie coś robić, a nie tylko mówić. Takie miałbym oto życzenia na kolejne moje lata do czasu osiągnięcia wieku upragnionej emerytury.

Szczecin, 2017

LEgo